

Oscar Wilde, lew salonów londyńskich schyłku XIX w., „król życia”, „mistrz paradoks”, należy do tych pisarzy, o których scena współczesna zapomina, odsuwa ich dzieła w niepamięć. Wyrok surowy i słuszny — bardziej fascynujące było niewątpliwie *curriculum vitae* autora „The Importance of Being Earnst” niż to, co pozostawił w swej spuściznie literackiej. Z twórczości tego estety i ekscentryka, który uważał powagę za „ułeczkę płytkich umysłów”, prawem paradoksu pozostały dla nas do dziś żywe dwa najpoważniejsze utwory: „De Profundis” i „Ballada o więzieniu w Reading”. Być może dlatego, że tak dramatycznie przełamały się w nich jego życiowy dandyzm i motyla niefrasobliwość, że powagę i dramat, które błyskotliwa inteligencja pisarza z twórczości wyгнаła, samo życie przemocą do niej wprowadziło. Jego komedie należą do bezpowrotnie minionego świata salonów XIX w., którego umiarkowanie zmonumentalizował inny wielki dandy tej pięknej epoki, Marcel Proust. Teatr dzisiejszy zapomina o komediach Wilde’a także i dlatego, że zmieniła się jego natura — wraz ze światem rzeczywistych salonów odeszły w przeszłość i te kunsztownie urządzane na scenie. Odeszły lwy salonowe, odchodzą aktorskie gwiazdy sceny. Dziś nikt już prawie nie chodzi do teatru „na Holoubka”, „na Łomnickiego” — dziś chodzi się „na

Swinarskiego”, „na Jarockiego”, „na Wajdę”.

Spektakl „Wachlarz lady Windermere” w Teatrze Bagatela jest jednym z tych rzadkich już dzisiaj wieczorów teatralnych, kiedy publiczność przychodzi, aby zobaczyć swego ulubionego aktora, kiedy nie-



ważny staje się problem i autor. Zostaje tylko Ona czy On, i nabożny, wruszony szept: jak Ona to gra! Jest rzeczą naturalną, że bohaterką wieczoru w Bagateli była Maria Malicka — przecież to jej 50-letni jubli-

leusz obchodził uroczyste teatru i publiczności. Jubileusz nietypowy, jako że każdą premierę Jubilatki poprzedzał zawsze ten sam odświętny, radosny nastrój oczekiwania. Radość — piękne i nietawne słowo. W swojej 50-letniej scenicznej karierze Maria Malicka należała do tych artystów, którzy dają publiczności radość — radość życia i radość z obcowania z wdziękiem i urodą. Malicka-reżyserka nieprzypadkowo też dobrała Wilde’owy „Wachlarz” do jubileuszowego kostiumu Malickiej-aktorki. Pogodny finał i wykwintny dialog tej sztuki skrywają dramat, który dopisał czas, dramat przemijania sztuki teatru i ludzkiego życia. Teatr w ogóle najsilniej ze wszystkich sztuk pozwala nam odczuć bezpowrotność minionego czasu; kiedy na scenie zapada kurtyna, kiedy żywy, z krwi i kości, Hamlet staje się znów Panem X, czujemy materialnie niemal, jak odchodzi od nas nieodwołalnie chwila życia, odczuwamy śmiertelność swoją i żywego Hamleta ze sceny. Ten nieustający konflikt z czasem każdy z nas rozgrywa po swojemu — ze śmiertelną powagą, z dezynwolturą lekkoducha, z niefrasobliwością utracjusza. I tysiące są sposobów na zachowanie ludzkiej godności w walce z czasem. Wiedział o tym wykwintny esteta, Oscar Wilde, kiedy kazał swojej bohaterce wygłosić kwestię: „Najpierw manieri, potem morały”. Maria Malicka mogłaby to zdanie wypisać na swym

ELŻBIETA MORAWIEC

Wilde i teatr Malickiej

jubileuszowym wachlarzu. Kreacja Pani Erlynn, od pierwszego pojawienia się aktorki na scenie, prezentuje bogatą gamę odcieni ludzkiego charakteru, ale zawsze nadaje jej ton jednolity to, co stanowi o istocie aktorstwa Malickiej — nieomylny wdzięk każdego gestu, niepodległa czasowi kobiecość, głos o niezwyklej skali, który wyśpiewuje wzruszenie i komizm, emanuje ciepłem. I uśmiech. Jego radość, naturalna, spontaniczna, przesłania jakąś leciutką, nieuchwytną prawie zadumą, jakąś niewesołą i głęboko ukrytą refleksją. Mówi to ona przede wszystkim sprawia, że eleganckie aktorstwo Marii Malickiej nigdy nie jest zimne czy upozowane, zawsze po ludzku żywe. Dobre manieri sceniczne nigdy nie przysłaniają w niej człowieka, ale też nie pozwalają mu zejść poniżej pewnej *façon d'être*. Nawet w II akcie „Wachlarza”, kiedy Pani Erlynn po raz pierwszy przekracza progi salonu swej nienaganej córki (Ewa Zytkiewicz), jej wyzywający, prowokacyjny sposób bycia kokoty broni się przed trywialnością salonowym obyciem i łobuzerską, świadomą

masą zasad gry przekorą. To właśnie ałibi — kobiecości niepokojącej, dwuznacznej, a przecież zewnętrznie nienaganej — sprawia, że Malicka-Erlynn, ujawniając desperacko swoją obecność w mieszkaniu lorda Darlingtona dla ratowania szczęścia i honoru córki, robi to tak swobodnie i lekko, jak gdyby chodziło o konwencjonalną sytuację towarzyską. A jaką wspaniałą lekcją życiowej prawdy jest jej rozmowa z pryncypialnym moralistą, lordem Windermere (Władysław Pawłowicz) w ostatnim akcie sztuki! Swobodę gestu, jego misterność — jakieś lekkie dotknięcie kapelusza, bawienie się parasolką — Malicka opera i odnosi do sceny wcześniejszej, dramatycznej rozmowy z córką, chaosu gestów nie dokończonych, urywanych, dyktowanych sprzecznymi uczuciami. Ostatni akt „Wachlarz lady Windermere” to pochwała kobiecości jako sztuki przemieniania ponurego dramatu życia w piękno ulotne i niefrasobliwe. I pochwała aktorstwa jako sztuki dającej swobodną radość przemian i ludzka godność.

ELŻBIETA MORAWIEC